

Letnia Szkoła Wyszehradzka 2008 w Willi Decjusza

Czternaście dni, niemal pięćdziesięciu uczestników z jedenastu krajów Europy – prawie 20 wykładów, 3 debaty panelowe, 74 godziny warsztatów, jeden koncert i cztery filmy... Gdy Letnia Szkoła Wyszehradzka dobiega końca dziewczynom szklą się oczy, a chłopcy żegnają się ze sobą jak najlepsi kumple. Niekiedy nie mogę uwierzyć, że znają się od niespełna dwóch tygodni.

Polak Węgier dwa bratanki...

Jest niedziela, jeszcze przed oficjalną inauguracją. Na spotkaniu organizacyjnym w ogrodzie Willi, przy fontannie czuję atmosferę, jaka się dopiero wytworzy w grupie – Czesi okutani narodową flagą już w drodze zaprzyjaźniają się ze wszystkimi, András w imieniu Węgrów wita wszystkich zdaniaми w ich rodzimych językach (do polskiej części mówi: - Polak Węgier dwa bratanki i do szabli i do szklanki), Polacy deklarują gotowość do



Magda i Libor w ulubionym okryciu.

oprowadzania po Krakowie, a Słowacy zapraszają na piwo wieczorem.

Przysłowiowe pierwsze lody jeszcze nie pękły – Ukraińcy siedzą z Ukraińcami, Polacy z Polakami... Podczas kolacji nieliczni odłączają się od swoich i wędrują pomiędzy innymi grupkami. Wszyscy są bardzo życzliwi,

uśmiechnięci i otwarci, jedyne czego im brakuje, to wspólny wieczór w pubie.

Następnego dnia przychodzą bardziej „wymieszani kulturowo”. Zwarte grupy narodowe dzielą się na mniejsze, te na jeszcze mniejsze, dwu, nawet jednoosobowe, łączą się z innymi, szukają nowych przyjaciół i swojego miejsca na najbliższe dwa tygodnie.

Pod krawatem

Poniedziałek. Od rana do Willi zjeżdżają VIP-y, ambasadorowie, byli i obecni ministrowie, dziennikarze – lśnią garnitury, krawaty zawiązane pod szyją. A uczestnicy

Szkoły – prawdziwy melanż szyków i kolorów: t-shirty na przemian z białymi koszulami, eleganckie garsonki i krótkie spódniczki. Każdy na swój sposób manifestuje własną indywidualność. Charakter pokazują wtedy kiedy trzeba, podczas wykładu i debaty o przyszłości Europy padają pytania ważne, trudne, czasem niewygodne. Niełatwo z nimi będzie miał każdy kolejny ekspert. Gorące od dyskusji głowy studzi koncert Wyszegradzkiego Kwartetu Smyczkowego.



Borys Tarasyuk w starciu ze studentami.

Przepraszam, czy mogę mieć pytanie...

Wtorek to początek prawdziwej szkoły, czyli zaczynają się zajęcia. - Podoba mi się, że wykłady są tak różne - mówi Vitek. Codziennie jest coś nowego, to jest dobre.

Tematy rzeczywiście są różnorodne – od relacji transatlantyckich, relacji z Rosją, problemu Kosowa, przez ekonomię UE, zmiany klimatyczne po rok '68. Jedni uczestnicy są zainteresowani polityką, inni stawiają na kulturę lub ekonomię. Ciężko zaciekawić wszystkich swoim wykładem. Są jednak tacy prowadzący, którzy w stu procentach angażują salę, nawet jeśli temat pozornie wydaje się niszowy.

Jak zmierzyć poziom zainteresowania studentów? Paradoksalnie poza salą wykładową: w hallu, na loggii, przy bufecie z kawą. Jeśli wrze, to dobrze. Studenci oblegający prowadzącego długie minuty po zakończeniu wystąpienia, sprzeczkające się ze sobą grupki rozrzucone po różnych zakątkach Willi, energicznie gestykulujący rozmówcy to dobry znak dla każdego wykładowcy.

Oprócz ekspertów niekwestionowaną gwiazdą każdego wykładu jest Oleh z Ukrainy: - Przepraszam, czy mogę mieć pytanie? Powiedział pan... - zawsze zaczyna swoją wypowiedź. Andras „Drugi” (w Szkole jest dwóch Andrasów, ten akurat nie mówi we wszystkich językach krajów wyszehradzkich) mówi o nim: - To najbardziej otwarty człowiek jakiego kiedykolwiek poznałem. Pyta o wszystko. Wiesz, nie ma znaczenia czy to jest profesor, ambasador, czy przewodnik w muzeum albo garncarz [na warsztatach folklorystycznych - RS] on zawsze o coś pyta, cały czas jest czegoś ciekawy. Oleh prawie zawsze rozpoczyna debatę po wykładzie. Następnie przyłączają się inni. Dyskusja rozwija się, tętni życiem, nikt nie chce jej przerywać i tylko niektórzy od czasu do czasu nerwowo spoglądają na zegarek obserwując jak uciekają kolejne minuty przerwy na kawę i papierosa. Zdarza się, że nie ma jej

praktycznie w ogóle, a lunch stygnie przez pół godziny. To ceną jaką godzą się płacić za możliwość rozmowy z ekspertem, który ma coś ciekawego do przekazania, a którego można więcej nie spotkać osobiście.

Z kamerą wśród zwierząt... politycznych

Popołudniu zaczynają się warsztaty. Dwa z nich dotyczą poważnych spraw: Współpraca polityczna i ekonomiczna, Stosunki międzynarodowe i kulturalne. Dwa pozostałe są trochę luźniejsze. Cztery osoby dostają do ręki kamery i ruszają z misją nakręcenia filmu dokumentalnego o Letniej Szkole: Na tarasie siedzi piętnaście osób, to warsztat polityczno-ekonomiczny – ciach, ląduje na taśmie. Chłopcy z Czech jedzą obiad – ciach, na taśmie. Bernát wymyka się z wykładu na papierosa – złapany, na taśmie. Wywiady z dziewczynami – na taśmie.

Zastanawiałem się wtedy czy studenci politologii i prawa potrafią zrobić ciekawy film, a czy ich koledzy są dobrym materiałem na bohaterów dokumentu. W piątek, dziesięć dni później wiem, że tak. Na pokazie premierowym sala co chwila wybucha śmiechem. Status super-gwiazdy zyskuje Libor. Cóż, takie mamy czasy, że wystarczy parę razy paradować przed obiektywem z obnażoną klatką w samych bokserkach, nawet wbrew swojej woli, na materiale kręconym z ukrycia (w trakcie pokazu woła: - O nie, stary... Szilárd, jak mogłeś!), i już jest się bożyszczem tłumów.

Zdolności artystyczne drzemają nie tylko w filmowcach. Warsztat fotograficzny biega po Zabłociu, dworcach, Nowej Hucie w poszukiwaniu koloru. Wyglądają jak wycieczka Japończyków sprzed 20 lat – 7 stolic w 3 dni, jednorazówki kodaka w ręku. Eva: - Sylwia [Biernacka, prowadzi warsztaty - RS] mówi, że jeśli zrobimy dobre zdjęcia



Na targu - w poszukiwaniu inspiracji.

tymi aparatami, będziemy potrafili zrobić równie dobre lepszym sprzętem. Poza tym to niezłe aparaty, mają bardzo dobry film w środku, osiemsetkę kodaka, tylko są jednorazowe – masz dwadzieścia osiem prób i nie wiesz dokładnie jakie zdjęcia zrobisz. Wszystko okaże się jak je wywołamy.

Szukają żółtego smutku, czerwonej radości, niebieskiej samotności i... znajdują. W piątek słuchamy jazzu i oglądamy owoce ich pracy, soczyste, dojrzałe, nasycone kolorami. Plakat szczerzącego zęby Eddiego Murphy'ego zestawiony z czerwoną witryną sex-shopu, żółto-seledynowa pluszowa kura, a może kaczką schnącą zawieszona na sznurku na bieliznę, błękitne niebo odbijające się w szybach porzuconych fabryk... piękne.

Buntownicy

- Co to za facet?! – wścieka się Maja z Bośni i Hercegowiny po wyjściu z sali w połowie wykładu – Nie będę słuchać, że w kraju, w którym żyję nie istnieje żaden naród. Czyli ja też nie mam narodowości!

Są tematy, które ze swojej natury wywołują kontrowersje i w nich ważne jest własne zdanie, umiejętność przedstawienia swoich racji. Podoba mi się, że niezależnie od poglądów – zbieżnych czy zupełnie różnych – wykładowcy i uczestnicy szkoły są otwarci na dyskusję na wykładzie i po nim, w mniej formalnych warunkach i w bardziej bezpośredni sposób.

Lukáš ze Słowacji o wykładzie nt. tarczy antyrakietowej: - On mówi jak rządowa pajacyńska. Czuję się jakbym słuchał streszczenia największych czeskich gazet. Akurat tak się składa, że interesuję się tematem bezpieczeństwa i według mnie on zupełnie nie ma racji.

Zadufanie i bezczelność, czy własne zdanie i pewność siebie? Po wykładzie studenci jeszcze długo rozmawiają z Martinem Ehlem, najpierw na sali wykładowej i przed nią, potem, jak zwykle, podczas lunchu. Nie wiem czy dochodzą do porozumienia, ale w artykule z Hospodářských Nowin docenia, że młodzi-nadzieja Europy są wymagający – pod każdym względem.

Nie święci garnki lepia

W sobotę nikt nie śpi do południa, a na pewno wielu by chciało. Autobus sprzed hotelu odjeżdża punktualnie o 10 rano. Cel: Zawoja – zasadzić 210 drzewek, by Szkoła była zero-emisyjna.

Na miejscu dwudziestominutowy spacer pod górę w Zawoi-Welczy, 5 minut



Elena i jej skarb.
szkolenia dla miastowych i można działać. Para rękawiczek, łopata, motyka – dwuosobowe zespoły ruszają do pracy. Z początku te 210 sadzonek wydaje się być ponad siły. Wszyscy myślą, że przyjdzie im spędzić cały dzień w lesie. Jednak praca, mimo niewprawnych rąk,

idzie nadzwyczaj sprawnie. Wykopać dołek, wsadzić drzewko zielonym do góry, zasypać, ugnieść ziemię wokół i voilà – około trzy kwadransy i po wszystkim.

Nagrodą za ciężką pracę jest obiad. Prawdziwe góralskie jadło, po którym nie chce się już nic, ino se legnąć na trawce i dychnąć.

Późnym popołudniem pojawiają się artyści. Nie żaden ekscentryczny Andy Warhol, ani czerwonowłosa dziwoląg, tylko prawdziwi ludzie gór. Rdzenna góralka z kilkunastu szpilek, mydełka i kolorowej bibuły czaruje miniaturowe koszyczki z bukietami róż i stokrotek. Mistrz garncarski z Rabki w parę chwil zamienia bryłę błota w kubki, talerze, kufle



i świeczniki, a wszystko to w rytm muzyki góralskiej kapeli.

Panią z kwiatami natychmiast oblega wianuszek dziewczyn (a i chłopcy ukradkiem tam spoglądają). Słowaczkom niekiedy łatwiej zrozumieć jej góralską gwara, niż Polkom. Koło garncarskie kręci się bezustannie. Gdy robi się ciemno kręcą się już wszyscy – w parach, w kręgu, wężem tańczą wokół ogniska.

Zabawa przeciąga się i ku rozpaczy kierowcy trwa w najlepsze w autobusie. Powrót opóźnia się o godzinę.

Oleh szarmancki jak zwykle.

Mleczno-betonowa przygoda

Niedziela to podróż w szarą przeszłość PRL-u. Będąc w Nowej Hucie trzeba odwiedzić ważne miejsca: kościół Arka Pana – symbol oporu antykomunistycznego, „starą” Nową Hutę – miasto budowane według renesansowych planów, Łaźnię Nową – centrum kultury; ale największą atrakcją staje się Plac Centralny imienia Ronalda Reagana. Przewodnik Remek staje skonsternowany, gdy grupa urządza sobie sesję pod tabliczką z nazwą placu. Nazwisko amerykańskiego prezydenta, który powalił Związek Radziecki w centrum miasta zbudowanego od podstaw przez komunistów to gratka. Każdy chce mieć zdjęcie w tym miejscu.

Po Hucie postanawiają chodzić piechotą. Tak można lepiej poznać miasto, poza tym część uczestników wycieczki czuje się jak u siebie w domu, bo prawie wszyscy pochodzą z krajów Europy Wschodniej i wielu dorastało w betonowych miastach budowanych wedle jednego wzoru. Najwięcej zabawy ma chyba Ludwig, wychowany na Malcie.

Kolejka od okienka po drzwi, kasjerka Krysia nie znająca ani słowa po angielsku, schabowy z ziemniakami i kompot podane na wiekowej zastawie z logo „Społem” – to już stuprocentowa egzotyka dla ludzi, którzy, gdy upadał Mur Berliński, uczyli się dopiero pisać. Obiad nie jest bardzo wykwintny, pewnie nie jest też tak smaczny, ani obfity jak te na co dzień, ale dla niektórych to atrakcja większa niż Wawel – bo zamki królewskie są w całej Europie, a bary mleczne tylko w Polsce.

Wyszehrad Karaoke Superstar

Co robią studenci w czasie wolnym? Przerwy obiadowe spędzają dość zwyczajnie. Na rozmowach, na czytaniu, na papierosie leżąc przy fontannie. Czasem ktoś złapie pszczołę w plastikowy kubek i postraszy nią dziewczyny. Ktoś robi głupie miny do aparatu, jeden stolik co rusz wybucha śmiechem, towarzystwo przy laptopach pisze maile do rodziny i przyjaciół, między nimi krąży Szilárd z kamerą.



Co gryzie Bernáta Józsa?

Tylko drobne szczegóły zdradzają, że prawdziwe życie toczy się gdzie indziej. Cienie pod oczami Petera z każdym dniem stają się ciemniejsze, Zsófia nuci coś pod nosem, jakaś para ukradkiem chwyta się za ręce. Po nieprzespanej nocy dzwoni portier z hotelu – biedak, gdyby lepiej mówił po angielsku mógłby im sam zwrócić uwagę, że imprezują zbyt głośno.

Nieoficjalne informacje mówią, że poznali już wszystkie knajpki w pobliżu hotelu. W niektórych ich już nie przyjmują, bo są zbyt rozśpiewani. Pięćdziesięcioosobową grupą krążą po mieście w poszukiwaniu karaoke.

Odkrywają karty podczas wieczoru multiCOOLturalnego. Tanecznym krokiem poloneza w dwadzieścia par wchodzi na salę. Impreza się rozpoczyna. Quizy, filmy, tańce, przedstawienie wprawiają w doskonały nastrój. Jest radość, zaangażowanie, śmiech, żar w



Andras skończył śpiewać i ruszył w tan.

oczach... Ale prawdziwy szal wybucha, gdy ktoś mówi: zaśpiewajmy! Słowacka „Kukulinka”, ludowe serbskie pieśni, rumuńskie karaoke, międzynarodowe szlagiery. András przetłumaczył „Yellow submarine” Beatlesów na kilka języków. Nikt nie wie jak mu się to udało, ale sens i rytm się zgadzają. Nie ważny jest język, nie ważna piosenka, liczy się tylko, żeby razem śpiewać, wygłupiać się... Byle głośniej, byle dłużej, choćby do białego rana.

Ta pasja ma swój epilog. Ostatniego dnia pani dyrektor wręcza dyplomy, jest uroczyste, trochę nostalgicznie, bo koniec Szkoły jest tuż-tuż. Każdy po kolei wychodzi na środek – uściski dłoni, podziękowania, zdjęcie, a ostatni rząd śpiewa – Andrásowi Beatlesów, Słowakom Kukulinkę...

Szkoła w internecie

Dziś, kilka dni później, gdy zaglądam na Facebooka, nie mogę przestać się dziwić jak blisko siebie nadal są uczestnicy Szkoły. Zostawiają wpisy na swoich profilach, komentują zdjęcia, wysyłają maile – żyją ze sobą w wirtualnym świecie i... umawiają się na spotkania w realu. Nie chcą tracić przyjaciół, których poznali w Willi Decjusza w Krakowie. Co sprawia, że tak im zależy na utrzymaniu stałego kontaktu?

Ostatnie słowa należą Libora: - Wiem, że każdy oczekuje ode mnie, żebym powiedział – sławni wykładowcy, świetne warsztaty, itd. Oczywiście to byłaby prawda, ale dla mnie najlepszą częścią Letniej Szkoły Wyszehradzkiej byli ludzie. Uczestnicy, organizatorzy i wszyscy pozostali... Po paru miesiącach będę musiał sięgnąć po notatki, żeby przypomnieć sobie niektóre wykłady, ale ludzi, których poznałem, nigdy nie zapomnę!